

## Rozdział VI

# CO SIĘ TUTAJ DZIEJE?

*15 listopada. Czwartek*

Eleonora od dłuższego czasu gapiła się w okno. Drobną mżawka przygasiła uroczy zazwyczaj widok na stare miasto i to dodatkowo psuło jej i tak nie najlepszy nastrój. Przeszło jej koło nosa kilka dobrych spraw, przegrała jeden proces, a teraz jeszcze w sprawie Nowaka narosło tyle niewiadomych. Mężczyzna nie mówił jej wszystkiego, tego była pewna, ale najbardziej denerwowało ją, że nie wie, jak go podejść. Opowiedział jej historię postrzelenia w Kanadzie i nic z tego nie wynikało. Przydałoby się też dowiedzieć, co do tej pory ustaliła policja, i Eleonora kombinowała, jak podejść młodego aspiranta i wypytać o sprawę. Formalnie Nowak nie został o nic oskarżony, niemniej to się mogło w każdej chwili zmienić, a ona nie była na tę zmianę przygotowana. Cała sprawa mogła być banalnie prosta. Jakaś lotna brygada bandziorów przyjechała na „gościnne występy” do tej psiej wólki, upatrzyli sobie Nowaka za cel i nakryli się kopytami w jego domu. Chciała wierzyć, że tak było, ale to nie wyjaśniało tajemniczej wiadomości na laptopie Juliana. Zwykłe typy spod ciemnej gwiazdy tak nie postępują, działają prosto i przewidywalnie, bez zbędnej finezji.

Postanowiła przypomnieć Nowakowi o swoim istnieniu. Odwróciła się do biurka i wystukała numer jego komórki. Odezwał się po chwili swoim głębokim spokojnym głosem:

– Halo, słucham.

- Cześć, tu Eleonora.
- Aaa, Eleonora – ożywił się.
- Dzwonię, żeby sprawdzić, jak się masz – rzuciła wesoło do słuchawki. – Od naszej księgowej dowiedziałam się, ile z ciebie zdarliśmy do tej pory, więc sprawdzam, czy nie zszedłeś na zawał.
- Ktoś mnie ciągle obserwuje. Siedzę już tydzień w domu, nie ruszam się na krok – powiedział do niej poważnie.
- Jak to? – zapytała nerwowo. – Skąd wiesz? Może to policja?
- To nie policja – oznajmił z pewnością w głosie. – W domu mam pozastłaniane okna, wiem, że ktoś czai się w lesie.
- Zgłosiłeś to na komendzie?
- Dzwoniłem raz. Przyjechali mundurowi, mędrkowali pół godziny i powiedzieli, że to syndrom pourazowy czy jakoś tak.
- Czemu się nie przeprowadzisz do hotelu? – jęknęła z troską.
- W hotelu jest mniej bezpiecznie – powiedział, a ona w duchu przyznała mu rację.
- Może przyjeżdż do Krakowa – zaproponowała. – Prokurator powinien się zgodzić, a ja mam tu znajomego, który prowadzi agencję ochrony.
- Zostanę w Bielsku – odmówił grzecznie – ale dzięki za troskę. Ty się trzymaj z daleka, na ile możesz, mam wrażenie, że to są niebezpieczni ludzie.
- Skąd taki wniosek? – parsknęła do słuchawki nerwowym śmiechem.
- Przez chwilę trwała cisza, po chwili Julian odezwał się:
- Mam na myśli, że mogą być niebezpieczni dla osób związanych ze mną. Dla ciebie...
- To może powiesz mi, skąd takie przypuszczenie? – nie wytrzymała i wrzasnęła do słuchawki – Powiedz mi, co podejrzewasz?!

W słuchawce znowu nastąpiła cisza. Julian zastanawiał się nad czymś.

– To wszystko jest popieprzone – odezwał się wreszcie łamiącym się głosem. – Myślę, że to może mieć związek z patentem.

– Patentem? – zapytała delikatnie. Julian zaczął się odkrywać. Wiedziała, że musi delikatnymi dmuchnięciami rozpaścić ledwo żarzące się ognisko.

Julian westchnął ciężko i podjął:

– To nic pewnego, to tylko możliwość, ale naprawdę nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Tak? – zachęciła go łagodnie.

– Opracowałem nowy model palnika gazowego, wiesz do przecinania stali i tak dalej. Sprzedałem patent jednej z wiodących na rynku korporacji.

– I? – Musiała pociągnąć go za język, wyczuwając, że znowu zamierza się zaciąć.

– I nie wiem – wyznał z rozbijającą szczerością. – To może być ktoś z konkurencyjnej firmy, z którymi prowadziłem negocjacje cztery lata temu. Niektórzy ludzie byli bardzo rozczarowani. Przychodzi mi też na myśl, że nabywca patentu nie chce się ze mną dzielić zyskami. Nie mam spadkobierców, więc może moja śmierć...

– To absurd. Musiałeś przecież kogoś wskazać w umowie – przerwała mu.

– No tak – przyznał, przypominając sobie. – Wskazałem sierociniec.

– No więc korporacji palnikowej nic nie da twoja śmierć – skonkludowała i dodała bez namysłu: – Nie wyobrażamy sobie natomiast, że siostry z sierocińca wynajęły cyngli, żeby się dorwać do twoich pieniędzy. Zresztą czy one wiedzą o twoim sukcesie i ewentualnym spadku?

– Siostr już nie ma – powiedział Julian z wyczuwalnym w głosie żalem. – Teraz to świecki dom dziecka. I nie, nie wie o spadku.

– No widzisz, jeden trop możemy sobie darować – rzuciła wesoło do słuchawki.

– Pozostaje konkurencja – przypomniał.

– Bez sensu – westchnęła. – Twoja śmierć nic im nie da. To są biznesmeni, nie traktują takich spraw osobiście.

– Może – bąknął.

– Powiedz mi – postanowiła kuć żelazo póki gorące – czy czasem nie naraziłeś się jakiemuś zazdrosnemu mężowi albo kochankowi? Może kogoś skrzywdziłeś, rozczarowałaś?

W słuchawce zapanowało długie milczenie. Eleonora miała wrażenie, że znalazła mocny punkt zaczepienia.

– Nie, nie naraziłem się! – powiedział to tak głośno, że omal nie wypuściła z ręki słuchawki. – To raczej ja powinienem szukać zemsty, słyszysz? Zakoduj to sobie i nie pytaj mnie więcej o kobiety! Od tamtego czasu spotykam się tylko z prostytutkami, nie uważasz chyba, że ktoś byłby o nie zazdrosny?!

Nie odpowiedziała. Zaskoczył ją jego wybuch. Dotychczas uważała, że to najlepszy trop: poznana gdzieś za granicą kobieta, o której nie chciał wspominać, zawiedziona miłość, ucieczka przed nią albo przed jej mężem, kochankiem, rodziną... Chciała go przeprosić, ale rozłączył się nagle. Odłożyła słuchawkę i odruchowo sięgnęła do myszki komputera. Na dysku odnalazła wykradzione zdjęcie Juliana z obcą kobietą i wlepiła w nie wzrok. Bez jakiegokolwiek planu zaczęła powiększać poszczególne fragmenty zdjęcia, jakby wierzyła, że może z niego wyczytać całą prawdę o Julianie.

Nagle coś jej przyszło do głowy. W Krakowie była znana wróżka, do której ciągnęły tłumy ludzi. Właściwie nie była to wróżka, ale wiedźma – tak ją przynajmniej nazywano. Eleonora wiele słyszała od swoich znajomych o jej rzekomo

rzeczywistych mocach. Mieszkała ponoć w opuszczonej ru-  
derze na końcu miasta. Przyjaciółka Eleonory, Ania, korzy-  
stała, zdaje się, z jej usług wyjątkowo często.

– Czemu nie? – zapytała samą siebie i sięgnęła po telefon  
komórkowy.

Znalezienie Ani na liście kontaktów zajęło jej mniej niż  
sekundę. Wybrała połączenie i czekała.

– No co tam? – zajazgotała przyjaciółka po drugiej stro-  
nie linii.

– Słuchaj, mam prośbę. – Eleonora przeszła szybko do sed-  
na. – Potrzebuję kontakt do wiedzymy.

– Ty? – zaśmiała się koleżanka. – Sceptycyzm umiera?

– Mam pewną sprawę i szukam każdej możliwej pomocy –  
odpowiedziała poważnie.

– Facet? – dopytywała się Ania.

– Facet – przytaknęła jej. – Ale to nie to, co myślisz.

– Kiedy chcesz do niej iść?

– Dzisiaj? – zaproponowała Eleonora.

– To nie to, co myślę?! – W słuchawce rozległ się serdeczny  
śmiech.

– To jak? Pojedziemy?

– Dobra! Przyjadę po ciebie do domu o osiemnastej – za-  
proponowała Ania.

– Przyjedź po mnie do pracy, będę tu jeszcze siedzieć.

– Okej, to do pracy. Widzimy się o szóstej i ani minuty  
późnej! – zgodziła się wesoło przyjaciółka i rozłączyła się.

Eleonora odłożyła aparat i skupiła się na fotografii. Uru-  
chomiła ją w edytorze graficznym i objęła prostokątną linią  
głowę i fragment piersi Juliana. Obcięła pozostałe partie  
zdjęcia, zapisała nowe zdjęcie przedstawiające jedynie „po-  
piersie” Nowaka i wydrukowała je. Odczekała, aż kartka  
przeschnie i włożyła ją do plastikowej koszulki. Spojrzała  
na uśmiechającą się z niej twarz i powiedziała:

– Jak nie chcesz mówić, to inaczej cię rozgryziemy.

Ania powoli przebijała się przez zatłoczone o tej porze ulice Krakowa. Eleonora zdążyła jej opowiedzieć całą historię, zanim jeszcze na dobre opuściły Śródmieście.

– Więc mówisz, że chcesz się o nim dowiedzieć co nieco jedynie z pobudek zawodowych? – nie dowierzała Ania.

– A ty myślisz, że dlaczego? – Eleonora machała kartką z wydrukowanym zdjęciem Juliana

– Czy ja wiem? – uśmiechnęła się tajemniczo jej koleżanka. – Ciacho to on może nie jest, ale źle nie wygląda. Poza tym, jak mówisz, ma to i owo w portfelu.

– Zamknij się, materialistko! – Prawniczka uszczypnęła ją w łokieć.

– Hej! Ja kieruję! – krzyknęła zaatakowana. – Poza tym ja niby jestem materialistką? Do materialistki nie przychodzi się po adres wróżki!

– Wiedźmy – poprawiła ją Eleonora i poczuła, jak po plecach przechodzi jej zimny dreszcz.

Deszcz przestał padać, ale ulice były nadal mokre, a w kałużach świeciły odbite światła latarni i neonów. Eleonorze sceneria kojarzyła się z oglądanym niedawno horrorem. Szum opon przecinających małe akwenty brzmiał upiornie i kilka razy cudem powstrzymała się przed zawróceniem koleżanki do biura.

– A jaka jest według ciebie skuteczność tych wróżb? – zapytała.

– Z tego, co mogę powiedzieć, duża. – Ania odgarnęła ciemną grzywkę spadającą się jej na oczy, spojrzała na przyjaciółkę i dodała: – Wiesz, jakie sławy do niej przychodzą?

– Mogę się tylko domyślać – odparła Eleonora.

Samochód minął kolejne światła i dalej ruch zelżał na tyle, że mógł w miarę płynnie poruszać się po drodze. Po niecałym

kwadransie przyjaciółki dotarły w rejony zamieszkiwane głównie przez ubogich, na ogół bezrobotnych ludzi. W otwartych, cuchnących tanim winem i moczem bramach kamienic stały grupki pokrzykujących agresywnie mieszkańców. – Twoi potencjalni klienci – zachichotała Ania.

– Ja nie pracuję *pro bono*. – Eleonora wyduła wargi w grymasie obrzydzenia.

Po chwili zatrzymały się przed niemal walącym się budynkiem. Zaskoczona Eleonora otworzyła szeroko oczy. Kamienica była totalną ruiną i wyglądała na niezamieszkałą. Kobieta omiotła zde gustowanym spojrzeniem budynku. W oknach nie dostrzegła choćby jednej całej szyby. Dach zapadał się pod własnym ciężarem i strach było przebywać wewnątrz choćby na chwilę. Z jednego z kominów wydobywał się czarny dym i była to bezsprzeczna oznaka, że ktoś zamieszkiwał ponurą ruinę.

Przyjaciółki wysiadły z samochodu i rozejrzały się po okolicy.

– Mam nadzieję, że ci nie rozkręcą samochodu na części – powiedziała Eleonora.

– No coś ty! – Ania popukała się w czoło. – Miejscowi nie zbliżają się do tego miejsca nawet na sto metrów.

– To kto tu przychodzi? – zapytała Eleonora.

– Tacy jak my, desperaci. – Ania wzruszyła ramionami, poprawiła nerwowo okulary na nosie i przeklęła się w duchu, że nie zabrała ze sobą latarki.

Mimo wszystko zablokowała zamki w samochodzie i uruchomiła alarm. Potem ruszyła przodem w kierunku popękanych, rozsypujących się schodów. Eleonora podreptała za nią niepewnie, coraz mniej przekonana o słuszności swojego pomysłu. Ania musiała być jednak częstym gościem mrocznego gabinetu więdźmy, gdyż wyglądało na to, że porusza się pewnie po okolicy.

– Byłam tutaj dwa razy z innymi takimi nawiedzonymi jak ty, ale nigdy nie wchodziłam na górę – powiedziała przyjaciółka, jakby odgadując jej myśli

Kiedy weszły przez pozbawioną drzwi jamę wejścia, ogarnął je nieprzenikniony mrok i stęchły zapach starych murów. Oczy obu kobiet przyzwyczajały się przez chwilę do ciemności, po czym przyjaciółki zwróciły się w kierunku jaśniejącej plamy niewielkiego poblasku, jaki jarzył się u szczytu drewnianych schodów. Ostrożnie weszły na nie. Wiekowe zbutwiałe drewno zaskrzypiało ostrzegawczo i obu kobietom serca zaczęły bić szybko jak u maratończyka. Ania ostrożnie stawiała kroki na stopniach i po omacku szukała nieistniejącej już od dawna poręczy. Eleonora skupiła wzrok na jej plecach i posłusznie podążała jej śladem. U szczytu schodów było nieco jaśniej, co sprawiło, że poczuły się nieco raźniej. Ania przystanęła na chwilę, rozglądając się dookoła.

– Hmm – mruknęła i wskazała palcem na zasłonięte kocem wejście do mieszkania. – To chyba tam.

Zbliżyły się do prowizorycznych drzwi i zatrzymały, nasłuchując. Z wewnątrz dochodziły odgłosy krzątania się po pomieszczeniu. Z wąskiej szpary między kocem a ościeżnicą przesączało się migoczące, nikłe światło świec. Przyjaciółki stały dłuższą chwilę, zastanawiając się, jak się zaanonsować, po czym Ania uniosła dłoń, jakby chciała zapukać.

– Włazicie czy nie? – Z mieszkania dobiegł ich skrzekliwy głos więdźmy.

Spojrzały po sobie i roześmiały się cicho. Ania odchyliła koc i wsunęła głowę do środka.

– Dobry wieczór – rzuciła odważnie i precyzyjnie się do wnętrza. Eleonora podążyła za nią.

Wiedźma była starą, grubą i pomarszczoną kobietą. Jej wiek był trudny do określenia, ogólnie wyglądała na nie więcej niż sześćdziesiąt lat, jednak jej szare wypłowiałe i pozbawione



blasku oczy znacznie ją postarzały. Długie, siwe, tłuste i skołtunionie włosy splecione miała w nieudany warkocz, który przewieszony przez ramię dotykał niemal jej uda. Ubrana była w kraciatą suknię do kolan, mocno przybrudzoną i połatana. Chodziła po pokoju, zdając się nie widzieć wchodzących kobiet, zajęta przenoszeniem jakiś drobnych przedmiotów z miejsca na miejsce. Przyjaciółki stanęły zaraz za progiem onieśmiałe i w milczeniu przyglądały się tajemniczemu miejscu. Od podłogi po sufit pokój zagracony był wszelkiego rodzaju sprzętami. Wszędzie walały się ni to poukładane, ni to porozrzucane książki, lalki, dziecięce wózki oraz cała masa ubrań, szmat i innych tekstyliów.

– Po amulet czy wróżbę? – zapytała wiedźma niskim, niemal męskim głosem.

– Po wróżbę – odpowiedziała Ania, niepewna, czy kilka informacji na temat teraźniejszości, ewentualnie przeszłości można nazwać wróżbą. Nie przyszły jednak po amulet, więc odpowiedź musiała być poprawna.

Eleonora natomiast pomyślała, że tak znana wiedźma powinna przynajmniej domyślać się, po co przyszły, ale nie odważyła się wypowiedzieć swojej uwagi na głos. Jakby czytając w jej myślach, wiedźma przystanęła w pół kroku i spojrzała jej w oczy. Eleonora natychmiast spuściła wzrok. W oczach staruchy czaiła się nieokreślona siła, której prawniczka nie potrafiłaby opisać ani nazwać.

Wiedźma bez słowa wskazała im duży okrągły stół na środku pomieszczenia. Podeszły do niego, odsunęły sobie krzesła i usiadły. Eleonora ukradkiem wsunęła dłoń do kieszeni, namacała znajdujący się tam dyktafon i wcisnęła klawisz nagrywania.

– Ile trzeba zapłacić i kiedy? – szepnęła, nachylając się do ucha koleżanki.

– Potem – odszepnęła Ania. – Daj jej, ile uważasz.

– Co łaska? – zachichotała Eleonora.

Wiedźma zbliżyła się nagle do stolika i usiadła naprzeciwko nich. Na pozbawionym obrusu blacie postawiła świeczkę z czarnego wosku i talię kart.

– Co ma być dla was? – zapytała bezceremonialnie, a Eleonora miała okazję lepiej się jej przyjrzeć.

Właściwie wyobrażała ją sobie jako starą Cygankę o pomarszczonej ciemnej twarzy. Patrzyła na nią jednak twarz kobiety o typowej europejskiej urodzie. Właściwie trudno byłoby nazwać urodą to, co wyzierało z jej nalanej fizjonomii. Eleonora nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że z tej przeciętnej twarzy patrzą na nią całe wieki doświadczeń i walki. Szare tęczęwki zdawał się otaczać ciemny krąg nieznannej siły. Oderwała wzrok od spojrzenia kobiety i sięgnęła do torebki.

– Chciałabym się dowiedzieć jak najwięcej o tym mężczyźnie. – To mówiąc, wyciągnęła złożoną na pół plastikową koszulkę ze zdjęciem Juliana. Wyjęła je i podała starej kobiecie.

Wiedźma wyciągnęła nad stołem swoją mięsistą dłoń i chwyciła papier. Otworzyła kartkę, spojrzała na twarz Juliana i natychmiast rzuciła zdjęcie na stół jak oparzona, wrzeszcząc niezrozumiałe słowa. Krzesło, na którym siedziała, przewróciło się razem z nią na podłogę ale szybko podniosła się i zasłaniając się rękami jak przed uderzeniem, tyłem uciekła w kąt pokoju. Kobiety zerwały się na równe nogi, wytrzeszczając oczy na starszą kobietę. Wiedźma schowała się w ciemnym kącie pomieszczenia, ciągle wrzeszcząc na całe gardło słowa, które wydawały się pochodzić z obcego nieznanego języka.

– Chodźmy! – Eleonora miała dość. – Nie chcę już nic wiedzieć.

Złapała leżącą na stole fotografię i ciągnąc za sobą Anię, ruszyła biegiem w stronę wyjścia.

Kiedy wsiadały do samochodu, ciągle słyszały upiorne krzyki wiedźmy, niosące się przez ciemność wieczoru z pozbawionego szyb okna.

## ZAMIANA RÓL

*16 listopada. Piątek*

Kiedy Sławek obudził się, było jeszcze bardzo wcześnie. Dochodziła piąta rano i zazwyczaj o tej porze miał jeszcze przed sobą co najmniej dwie godziny snu. Tym razem nie mógł jednak ponownie zasnąć i chcąc nie chcąc, ociężale podniósł się z łóżka, mimo że za oknem wciąż było ciemno.

W kościach czuł lekkie łamanie, bolała go głowa, więc domyślał się, że łapie go przeziębienie. „Wczorajsze godziny spędzone na zimnie zrobiły swoje” – pomyślał gorzko i zastanowił się, czy nie mógłby wziąć wolnego dnia. Natychmiast przypomniało mu się, że szef zażądał na rano raportu, zapewne też urządzi spotkanie dotyczące sprawy. Poza tym starszerek youtuber prosił go o przyjazd. Przeciągnął się, ziewając, i zapalił lampkę na szafce przy łóżku. Natychmiast zauważył, że na leżącym obok telefonie mruga zielona dioda, co wskazywało na nieodebrane połączenie. Wziął aparat do ręki i odczytał zapis połączeń. Okazało się, że pan Florian dzwonił do niego kilkakrotnie tuż po północy. Zazwyczaj spał czujnie, więc w myślach przeklął swój dzisiejszy twardy sen i zastanowił się, czy powinien teraz oddzwonić. Ostatecznie zdecydował, że zrobi to później z komisariatu i odłożył telefon na szafkę. Przeciągnął się raz jeszcze, ziewnął i pomaszerował przez ciemne mieszkanie do kuchni. Tam wyjrzał przez okno. Wczorajszy śnieg trzymał się jeszcze gdzieniegdzie

w zakamarkach ulic. Spojrzał na wiszący za oknem termometr, było kilka stopni poniżej zera. Odszedł od okna, zapalił gaz na kuchence i postawił srebrny czajnik na palniku, upewniając się najpierw, że jest w nim dość wody. Starał się zachowywać cicho, żeby nie obudzić rodziców śpiących w przyległym do kuchni pokoju. Zdjął z czajnika gwizdek, a do kubka nasypał większą niż zwykle ilość kawy. Usiadł na taborecie przy stole i czekał, aż woda zawrze. Analizując w myślach wydarzenia z poprzedniego dnia, starał się ułożyć plan na dzisiaj. Najpierw będzie musiał sprawdzić numery rejestracyjne nagranej przez kamerę hondy. Mógł o to poprosić telefonicznie kogoś z kolegów i to jeszcze wczoraj, ale wydarzenia popędziły w zawrotnym tempie, a poza tym odnosił dziwne wrażenie, że na nikogo poza sobą samym nie może liczyć. Będzie istnym cudem, jeśli samochód okaże się być czyjąś własnością. Jeśli tak, trzeba będzie oddać sprawę w ręce kapitana i pozwolić mu zadzwonić do Krakowa, a to jakoś nie cieszyło Sławka. Więc najpierw sprawdzić hondę, a potem papierkowa robota, pełny raport z informacjami uzyskanymi podczas śledztwa, nic przyjemnego, przekłety obowiązek. Potem może nasiadówka w gabinecie kapitana, też nic radosnego. Może około południa uda mu się wyskoczyć do nieocenionego kamerzysty, cokolwiek ten wyszperał jeszcze w nagraniach.

Woda zawrzała wreszcie i zalewając wrzątkiem kawę, myślał z nadzieją, że ten dzień musi się okazać przełomowy dla śledztwa.

Przekraczając próg komendy, Sławek skinął głową dyżurującemu przy wejściu policjantowi. Ten jednak zajęty był rozmową z innym siedzącym w dyżurce funkcjonariuszem i nawet nie zwrócił uwagi na wchodzącego aspiranta. Machinalnie

sięgnął do klawisza uruchamiającego eklektyczny zamek i wpuścił Sławka do środka. Zwykle dzień na komendzie zaczynał się od godziny siódmej, tym razem Sławek był godzinę wcześniej. Za oknami nadal było ciemno i idąc jasno oświetlonym korytarzem, mrużył oczy. W gardle czuł pojawiające się lekkie drapanie, co zapowiadało katar. Żałował, że nie wstąpił po drodze do całodobowej apteki po jakieś saszetki z rozpuszczalnym lekarstwem na przeziębienie. Otworzył kluczem drzwi do swojego biura. Wszedł do środka i zapalił światło. Neonowe żarówki rozbuczały się głośno i migając dłuższą chwilę, zalały wreszcie światłem niewielkie pomieszczenie. Sławek rozpiął kurtkę i odwinął z szyi ciepły szalik. Zanim zdjął z siebie wierzchnie okrycie, zauważył, że ktoś był w jego gabinecie. Krzesło, które zawsze miał zwyczaj dosuwać do biurka, było daleko odsunięte, jakby korzystał z niego ktoś o okazałym brzuchu. Podeszedł do biurka, położył na podłodze swoją aktówkę i rozejrzał się. Komputer stojący na dolnej półce był przekrzywiony, zapewne ktoś uruchamiał sprzęt w czasie jego nieobecności. Włączył go i przez moment obawiał się, że ktoś mógł wykraść dysk. Komputer uruchomił się jednak normalnie, więc Sławek zalogował się i po pobieżnym sprawdzeniu plików z ulgą stwierdził, że prawdopodobnie niczego nie brakuje. Zdjął z siebie kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła, po czym usiadł i przetaił palcami zaczerwienione oczy. Sięgnął do aktówki, wyjął z niej akta sprawy Nowaka i położył przed sobą na biurku.

– Dzień jeszcze się nie zaczął, a ja już mam dosyć – powiedział do siebie markotnie.

Nachylił się raz jeszcze nad aktówką i wyciągnął z niej swój notes. Położył go na biurku i na komputerze zalogował się do policyjnej bazy danych pojazdów.

Wprowadził numer rejestracyjny hondy i po kilku sekundach system odnalazł dane. Samochód nie figurował jako

kradziony. Sławek ze zdziwieniem przeczytał, że pojazd należał do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jako komórkę zarządzającą wskazano Centralne Biuro Śledcze. Nie mógł w to uwierzyć, więc jeszcze raz wprowadził numery do systemu i ponownie kliknął „szukaj”. Wynik był ten sam. Ciężko opadł na oparcie krzesła i wziął kilka głębokich oddechów. Czuł, jak na czoło wychodzi mu zimny pot. Przypadek Nowaka był totalnie pogmatwany i nie było wiadomo, co się w ogóle dzieje. Miał też wrażenie, że jest wplątany w coś, czego nie zdoła ogarnąć. Wszystko wokół niego było obce, wrogie i nie do przebrnięcia.

Wyjął z kieszeni telefon i zastanowił się. Było jeszcze wcześniej, za wcześniej, żeby dzwonić do Jastrzębskiego. Postanowił odłożyć to na później. W nosie czuł uporczywe śwędzenie i całą siłą woli powstrzymywał się, żeby nie kichnąć. Pokonał pierwszy atak kichania, za drugim razem już mu się nie udało i zdążył jedynie zakryć nos dłonią. Kichnął tak potężnie, że zaboląły go żebra. Całą dłoń miał mokrą i przeklął swoje niedbalstwo, bo jak zwykle nie miał pod ręką żadnej chusteczki. Wstał z krzesła i poszukał jakiś niepotrzebnych papierów. Jak na złość, wszystko wydało mu się potrzebne i chcąc nie chcąc, wyszedł z gabinetu i powędrował do znajdującej się po drugiej stronie korytarza toalety. Z jednej z kabin zabrał całą rolkę papieru, urwał kawałek i wytarł ręce. Potem podszedł do umywalki i umył je dokładnie. Spojrzał na swoją twarz w lustrze nad kranem. Wyglądał gorzej niż godzinę temu. Sine półokręgi jak głębokie cienie podkreślały jego ciemne oczy, a twarz miała kolor kartki papieru. Pomyślał, że zaczyna wyglądać jak Nowak, i ta myśl pogorszyła mu i tak nie najlepszy humor.

Wyszedł z łazienki i ruszył z powrotem do swojego biura. Już z daleka zauważył, że drzwi wejściowe są zamknięte, choć pamiętał, że zostawił je uchylone. Nacisnął klamkę i wszedł

do środka. Wewnątrz zastał trzech ludzi. Jednym z nich był kapitan, pozostających: kobiety i mężczyzny, nie znał. Kobieta siedziała za biurkiem i przeglądała dane w jego komputerze. Miała nie więcej niż trzydzieści lat, krótkie blond włosy i beznadziejnie niedbały, ale mocny makijaż. Kapitan siedział naprzeciwko niej rozparty na oparciu krzesła w swojej zwykłej, władczej pozie. Trzeci z nich, wysoki, tęgi facet w skórzanym kurtce, stał przy oknie i wydawał się czegoś wypatrywać w jaśniejącym za szybą krajobrazie.

– Dzień dobry, Zapalski. – Kapitan uprzedził jego zamiar i odezwał się pierwszy.

– Dzień dobry – odpowiedział niemrawo Sławek, wpatrując się pytająco w siedzącą na jego krześle kobietę. Ta jednak nie spojrzała nawet na niego, co wzbudziło w nim skrajną irytację.

Kapitan także nie śpieszył z wyjaśnieniami, więc Sławek spojrzał wyczekująco na stojącego przy oknie osiłka.

– Spokojnie – odezwał się ten basowym głosem. – Jesteśmy z CBS z Krakowa.

– Czemu nie jestem zdziwiony... – powiedział cicho aspirant, a głośno zwrócił się do kapitana: – Szefie, czy to w porządku tak grzebać w moich materiałach?

– Jakich twoich? – zagrzemiał grubas agresywnie. – Komputer nie twój, akta nie twoje i notes też nie twój!

– Notes akurat jest mój – odparł Sławek, nie tracąc rezonu. Gorączka, która od kilkadziesiąt minut ogarniała całe jego ciało, skutecznie izolowała go od otoczenia, tak że było mu wszystko jedno.

– Nie mędrkuj! – warknął kapitan jeszcze groźniej i dorzucił: – Przez ponad tydzień zrobiłeś gówno w tej sprawie, patałachu. Teraz fachowcy muszą po tobie poprawiać.

Sławek powoli przełknął ślinę. Zbliżał się niebezpiecznie do momentu, w którym cierpliwość i rozsądek idą w zapomnienie.

– Nie jestem chodzącym ideałem – wycodził przez zęby – ale tłusty nierób, który się wspiął na stołek po partyjnych plecach, nie będzie mnie obrażał.

Kapitan otworzył usta, jakby nagle zabrakło mu tchu. Nawet uparcie jego wpatrująca się w ekran komputera Sławka kobieta zastygła w bezruchu i zaszczyciła aspiranta jadowitym spojrzeniem. Sławek zauważył, że osiłek pod oknem też jakby sprężył się w sobie, gotowy do skoku w jego stronę. Młody policjant powoli podszedł do swojego krzesła i sięgnął po wiszącą na jego oparciu kurtkę, cały czas nie spuszczać wzroku z oniemiałego szefa. Wyrwał zza pleców agentki kurtkę i założył ją.

– Co ty sobie gówniarzu...! – kapitan wyrzucił z siebie, ale Sławek przerwał mu, gestem nakazując milczenie, i sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Wyjął z niej swoją odznakę i wzięwszy potężny zamach z całej siły rzucił w twarz kapitanowi. Odznaka oprawiona w skórzaną okładkę miała swoją wagę, zaś otyły funkcjonariusz nie mógł poszczycić się refleksem i lecący z dużą prędkością przedmiot głośno pisał w jego gruby policzek. Kapitan zachwiał się na krześle, a jego głowa odskoczyła do tyłu tak mocno, że wydawało się, że aż chrupnęły kręgi szyjne. Kobieta na krześle poderwała się nagle, ale Sławek przewidział to. Położył ręce na jej ramionach i pchnął ją z powrotem na krzesło.

– Siedz! – syknął do niej i zwrócił się zimno, ale spokojnie do osiłka, który zdążył już zrobić krok w jego stronę: – Ty też zostań lepiej tam, gdzie jesteś.

Kapitan trzymał się za policzek, a spod jego palców wypływała stróżka krwi.

– Uważaj na niego – ostrzegł funkcjonariusza CBS. – To pieprzony karateka!

Muskularny typ puściłby to ostrzeżenie mimo uszu, nie pierwszy raz miał do czynienia z wysportowanym i wyszkolonym w walce wręcz przeciwnikiem. Powstrzymał go jednak



wyraz oczu Sławka, w którym nie było cienia nerwów, a jedynie zimny, opanowany zew krwi. Osłęk zatrzymał się więc posłusznie, nie spuszczać wzroku z policjanta. Sławek tymczasem owinął szyję szalikiem i sięgnął po swój notes leżący na biurku.

– Jak już powiedziałem, notes jest mój – mówił do nich jak do dzieci delikatnym ale dobitnym tonem. – Musiałem sam sobie kupić, więc jest mój.

– Oddaj broń! – krzyknął kapitan, ale zaraz tego pożałował. Ostatnie, czego pragnął, to zobaczyć, jak jego podwładny sięga w tej chwili po pistolet.

– Jaką broń, tumanie? – zapytał Sławek. – Nie wiesz, że miesiąc temu komendant kazał nam zdać przedpotopowe pukawki, obiecując glocki „za dzień, za dwa”? W tym mieście byle łajza ma dobrą klamkę przyklejoną taśmą za szafą w sypialni, a my chodzimy jak hycle z pieprzem w aerozolu!

Jakby na potwierdzenie swoich słów wyjął z kieszeni kurtki mały czarny pojemnik z gazem pieprzowym i położył go na biurku. Z kieszeni spodni wyciągnął kluczyki do forda i rzucił obok.

– Doigrałeś się – odezwał się kapitan ostrożnie.

– Być może – odparł Sławek – ale nie żałuję.

To mówiąc, podszedł do drzwi i nie oglądając się za siebie rzucił:

– Aha, zwalniam się.

Po powrocie do domu cały dzień przeleżał w łóżku. Dla czystej formalności próbował dodzwonić się do Jastrzębskiego, ale ten nie odbierał telefonu. Zirykowało go to. Staruszek miał tupet, żeby dzwonić do niego po nocy, a teraz lekceważył jego próby skontaktowania się. Sławek podejrzewał, że pan Florian mógł się na niego obrazić. Gorączka nie odpuszczała,

więc zwinął się w kłębek pod puchatą pierzyną, przysypiając raz po raz. Na szafce obok łóżka położył zabraną z komendy rolkę papieru toaletowego i za każdym razem, gdy urywał kawałek, aby wydmuchać nos, chciało mu się śmiać, że ten papier też powinien być zdać kapitanowi.

Bawiło go również użyte wobec niego określenie „mistrz karate”. Nie był żadnym mistrzem, choć faktycznie latami trenował sporty walki i miał kilka znaczących sukcesów w turniejach.

Około czwartej po południu do domu wróciła matka. Sławek usłyszał dźwięk przekręcanego w zamku klucza i pospieszne kroki sunące wprost do jego pokoju. Otworzyła drzwi na oścież i spojrzała na niego badawczo.

– Jesteś chory? – stwierdziła raczej niż zapytała.

– Tak, mam, przeziębilem się – odpowiedział, przyglądając się jej uważnie.

Nie miała w zwyczaju biegać po mieszkaniu w butach i płaszczu, więc podejrzewał, że coś musiało się wydarzyć. Podeszła do niego, usiadła na krawędzi łóżka i położyła mu na czole zimną dłoń.

– No nieźle, nieźle. – Opuściła kąciki pomarszczonych warg. – Trzeba było do mnie zadzwonić, bo w domu nie ma ani grama aspiryny.

– Nic mi nie będzie – jęknął jakby zawstydzony jej opiekuńczym zachowaniem. – Przeleżę.

– Tak to będziesz leżał do Nowego Roku. – Machnęła ręką i wstała.

Rozpięta płaszcz, kierując się do drzwi, przystanęła w nich jednak, odwróciła się do Sławka i patrząc na niego uważnie, zapytała:

– Byłeś dzisiaj w pracy?

– Nie – skłamał. – Poszedłem rano zarejestrować się do lekarza, ale była długa kolejka i wróciłem do domu.

– Czyli wzięłeś wolne? – dopytywała.  
– Tak – skłamał ponownie.  
– To pewnie nie wiesz, że mamy następne morderstwo? –  
Popatrzyła na niego z przejęciem.

Podniósł się na łokciach na łóżku i obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

– Co ty mówisz?! – krzyknął, na ile pozwalało mu chore gardło

– Ano – kiwnęła głową. – Znowu w Cygańskim Lesie. Jakiś emerytowany pułkownik Wojska Polskiego. Ciekawe, w co się wplątał, pewnie jakieś akta chował. Zabili jego i jego żonę.

Sławek opadł ciężko na łóżko. Tego było już za wiele nawet jak na niego. Przez moment pożałował swojej pochopnej rozróby na komendzie. Powinien tam teraz być, był to winien Jastrzębskiemu.

Matka była już w przedpokoju, ale zawołał ją. Wróciła i stanęła w drzwiach, patrząc na syna pytająco.

– Jak to się stało? – zapytał ją cicho.

– Ale co? Aha, pytasz o tę parę starszków. A bo ja wiem? –  
Wzruszyła ramionami. – Myślałam, że dowiem się czegoś od ciebie.

– Wiesz kiedy ich znaleźli?

– Rano koło dziewiątej jechały karetki i policja na sygnale – relacjonowała. – Zrobiło się zbiegowisko, ale ja tam nie byłam, za daleko, żeby tak iść i tylko się gapić. Pani Adlerowa powiedziała, że ponoć im głowy pucinali, ale skąd ona wie, to ja nie wiem...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Sławek nakrył głowę pierzyną, więc przerwała, obrzuciła syna zawiedzionym spojrzeniem i wyszła. Po chwili dało się słyszeć szum odkręconej w kuchni wody i odgłosy krzątania. Sławek nasłuchiwał tych dźwięków ukryty pod pierzyną, a jego obolałą głowę przepędiała gonitwa myśli. Nie chciał się zastanawiać nad

tym morderstwem, przekonywał siebie samego, że to mu już do niczego nie jest potrzebne. Powinien raczej obawiać się konsekwencji swojego zachowania. Dyscyplinarne zwolnienie jest pewne, a jeszcze dołożą mu co najmniej napaść na przełożonego i groźby karalne. Skupiał się na tym, jak mógł, chcąc zaplanować swoją obronę, a potem dalszą przyszłość. Jednak natrętne myśli dotyczące tak zwanej sprawy Nowaka wracały. Wszystko od początku do końca było dalekie od normalności, nic do siebie nie pasowało. I teraz jeszcze morderstwo starsuszków. Statystycznie wyglądałoby to na grasującą po okolicy szajkę seryjnych morderców. Szalonych seryjnych morderców. Bo kto przy zdrowych zmysłach po nieudanych napadzie i rzezi wraca niemalże w to samo miejsce? To nie mogło się zdarzyć. Zabójstwo Jastrzębskich było ściśle powiązane z napadem na dom Nowaka. Nie mógł wyrzucić z siebie uporczywej myśli, że pośrednio przyczynił się do śmierci starszej pary. To on odkrył, jakimi materiałami dysponuje emerytowany żołnierz. Czyżby CBS krążyło po okolicy i mordowało ludzi? Nie zdziwiłby się, gdyby Nowak miał coś na sumieniu i zasłużył na kulkę, ale jak u diabła wytłumaczyć zabicie starsuszków? Po raz kolejny złapał się na tym, że Nowak mierzi go. Od samego początku nie przypadł mu do gustu. Niech by go stuknęli – w sumie nie byłby to problem, przyjechałby po wszystkim i posprzątał jego ciało. Ale jakim prawem zginęli Jastrzębscy?

Im więcej myślał, tym bardziej nienawidził samego siebie. Ta sprawa zabiła w nim resztki jego sprawiedliwej duszy policjanta. Nie znał przecież Nowaka wcale, skąd naszła go myśl, że ten zasłużył sobie na śmierć? Nigdy w ten sposób o nikim nie myślał aż do teraz. Tym bardziej nie żałował, że pożegnał się z odznaką, nie nadawał się na stróża prawa. Po pierwsze dlatego, że popełniał masę błędów, które szef wytykał mu bez ogródek, a po drugie dlatego, że już nawet nie umiał być

bezstronny. Wychylił spoconą głowę spod pierzyny i jego wzrok przypadkiem padł na półkę z książkami. *Rio Bravo* – niezbyt obszerna książeczka, opowieść o szeryfie walczącym samotnie przeciw wszystkim wokoło. Od tego się wszystko zaczęło: kilkanaście lat temu to był jego wzór, jego marzenie o świecie, który da się naprawiać uporem i odwagą. Teraz nienawidził tych kilkuset kartek bardziej niż kapitana Rzepy.

Jego rozmyślenia przerwało wejście matki. Niosła szklankę jakiegoś naparu pobrzękującą na porcelanowym talerzyku w takt jej kroków.

– Siemię lniane – powiedziała, stawiając szklankę na szafce obok łóżka.

– O masz! – jęknął bezradnie.

– Nic, żadne „o masz”, tylko pij, póki gorące – zrzędziła matka.

Sławek wiedział, że przypilnuje go, żeby wypił wszystko.

Eleonora siedziała przed gadającym telewizorem i ostrożnie nakładała lakier na paznokcie. Nadawany właśnie serial o policjantach irytował ją od dłuższego czasu, ale świeża warstwa emalii sprawiała, że dziewczyna nie chciała sięgać po pilota. Skończyła malować ostatni palec u lewej ręki, dmuchnęła kilka razy na dłoń i delikatnie położyła ręce na kolanach. Wtedy właśnie zaczęła dzwonić jej komórka. Zakłęta głośno i postanowiła zignorować połączenie. Po kilkunastu natrętnych dzwonekch nastąpiła chwila ciszy, po czym telefon rozdzwonił się na nowo. Za trzecim razem nie wytrzymała. Wstała z kanapy i ostrożnie chwytając aparat, odebrała.

– Halo – powiedziała, siłąc się na uprzejmość.

– Cześć! – W aparacie zabrzmiał tubalny głos Piotra. Piotr miał tytuł doktora nauk lingwistycznych i był specjalistą w dziedzinie starożytnych języków antycznych i orientalnych.

– A cześć – zaszczębiotała wesoło i zaczęła się tłumaczyć: – Sorki, że nie odbierałam, ale byłam pod prysznicem.

– A to przepraszam. – Piotr był niezwykle uprzejmy, w jego głosie jednak wyczuwało się napięcie. – Słuchaj, nie dzwoniłbym – podjął po chwili milczenia – ale wysłałaś mi wczoraj w nocy mailem plik audio z prośbą o analizę.

– Tak – potaknęła. – Jak napisałam, chodzi o przysługę dla mojej koleżanki.

– Hmm... – Mężczyzna był jakby zdezorientowany. – Napisałaś w mailu, że koleżanka pisze pracę na temat wykorzystywania starożytnych języków we współczesnej kulturze masowej...

– Tak, tak – potwierdziła szybko Eleonora i dodała: – Wzięła to nagranie z jakiegoś amerykańskiego filmu, z jakiegoś horroru czy coś. Chce wiedzieć, co tak naprawdę kryje się za tym bełkotem i czy w ogóle się coś kryje.

Roześmiała się sztucznie do słuchawki. Jej rozmówca nie odzywał się dłuższą chwilę. Słyszała tylko jego miarowy oddech i wyczuła, że mężczyzna jej nie wierzy. Za nic jednak nie chciała powiedzieć mu prawdy.

– A co było w tłumaczeniu? – zapytał ją niepodziwianie.

– Gdzie? – zająknęła się.

– No jak to zostało przetłumaczone w tym filmie? – dociekał.

– Wiesz co, nie wiem – wycofywała się dalej. – Musiałabym zapytać koleżanki. Czekaaj, zdaje się, że nie było żadnego tłumaczenia.

– A znasz może tytuł tego filmu? – Z każdym zdaniem coraz bardziej przypierała ją do muru, a tego nienawidziła.

– Słuchaj, Piotrze – zdenerwowała się – poprosiłam cię tylko o drobną przysługę. Chciałam, żebyś odsłuchał nagranie i wypowiedział się, czy rozpoznajesz jakikolwiek starożytny język i czy znasz ewentualnie znaczenie tych słów. A ty od razu przeprowadzasz śledztwo!

– Nie gniewaj się, Eleonorko – powiedział do niej pojednawczo. – Bardzo mnie to nagranie zastanowiło. Zresztą nie tylko mnie, musiałem je puścić mojej koleżance z katedry.

– Ach – westchnęła na pozór obojętnie – i co?

Mężczyzna zastanowił się i powiedział w końcu podnieconym głosem:

– A to, że na nagraniu są trzy starożytne języki. Pierwszy to staroegipski, nieużywany od drugiego tysiąclecia naszej ery, ale dość dobrze znany naukowcom. Drugi to właściwie krótka lekcja w języku łacińskim, żadne wielkie mecyje. Ale trzeci to perła w koronie. Wygląda, bo nie wiemy na pewno, na jakiś szczep babiloński, taka starożytna gwara nikomu jeszcze nieznaną.

– Okej! – Eleonora robiła wszystko, żeby nie zabrzmieć jak ktoś zbyt zainteresowany. – Wiesz, przekażę to znajomej. A może mógłbyś mi te informacje przesłać na maila, a ja jej prześlę dalej?

– Dobrze – zgodził się. – Opracuję analizę i prześlę ci.

Eleonora przestraszyła się, że mężczyzna się rozłączy. Rzuciła pośpiesznie do słuchawki:

– Możesz mi już teraz powiedzieć, co tam się mówi? Zainteresowałeś mnie.

Piotr roześmiał się szczerze.

– Wychodzi z ciebie prawniczka – powiedział wesoło. – Nie wiem, czy ta koleżanka istnieje. Na pewno nie był to też żaden film, przecież słychać na nagraniu twój głos, w pewnym momencie mówisz, że masz tego dość...

Eleonora poczuła, jak czerwienią się jej uszy. Nie lubiła kłamać, ale jeszcze bardziej nie lubiła być przyłapywana na kłamstwie. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc postanowiła siedzieć cicho. Na szczęście jej znajomy kontynuował:

– Jeśli byłaś świadkiem tego zajścia, to trzymaj się od tego męczyzny daleko.

– Kobiety – szepnęła nieśmiało.

– Kobiety – poprawił się. Nie wydawał się zaskoczony. – To są sprawy, o których nie mam pojęcia i chyba nawet nie chcę go mieć. Nawet za cenę odkrycia starobabilońskiego narzecza.

Piotr skończył i odetchnął głęboko.

– Ale możesz mi powiedzieć, co to znaczy? – zapytała go.

– Mniej więcej. Staroegipski „bełkot”, jak go nazwałaś, jest stosunkowo prosty. Pada tam kilkakrotnie powtórzona fraza: „jeden z czterech”. Potem mamy łacińskie słowo *successio*, co oznacza po prostu dziedzictwo. Dialekt babiloński natomiast nastręcza wielu trudności. Moja znajoma jeszcze nad tym ślęczy, ale z tego, co zdążyła się zorientować, pada tam określenie: „Dostąpić próby, najwyższej próby” albo: „Przejsć ciężką próbę”. Coś w tym stylu.

Eleonora w pośpiechu złapała swój terminarz i zapisała usłyszane zwroty, nie dbając o stan lakieru na paznokciach.

– Notujesz? – domyślił się Piotr. – Lepiej nie notuj. Zostaw to w spokoju. Ktokolwiek mówił te słowa, trzymaj się od niego z daleka.

– Będę – powiedziała zgodnie z prawdą.

– To trzymaj się i jeśli chcesz pogadać na tematy starożytnych języków, wiesz, gdzie mnie znaleźć. – Ton jego głosu zrobił się nadszpiewanie łagodny. Eleonora wiedziała, co mężczyzna tak naprawdę jej proponuje.

Uśmiechnęła się ciepło, bo wiedziała, że Piotr nie może tego zobaczyć, i zbyła go taktownie:

– Tak, wiem, gdzie cię szukać.

Rozłączył się, nim zdążyła mu podziękować. Odłożyła telefon na szklany stolik. Teraz mogła przyjrzeć się dokładnie zapisanym przez siebie słowom.

– Jeden z czterech? Dziedzictwo? Dostąpić próby? – wzruszyła ramionami i zaśmiała się na cały głos. Nagle przeszył ją jednak jakiś dziwny, obcy chłód. Wydało się jej, że w pokoju



jakby pociemniało, mimo że wszystkie światła jak zwykle były włączone. Była zła na siebie, zaangażowała się w tę sprawę zbyt głęboko, zbyt osobiście. To był dla niej oczywisty brak profesjonalizmu. Nie chciała już więcej o tym myśleć, niech Nowak będzie sobie, kim chce, niech zadziera, z kim chce, i niech nawet zostanie zabity, przez kogo chce. Postanowiła uroczyście, że nie zrobi już więcej dla niego nic ponad to, co musi. Nie było jej łatwo podjąć taką decyzję. Wyglądało to na pierwszą oznakę zmęczenia zawodowego. Ale wszystko było lepsze od bagna, jakie wydawało się otaczać przypadek Nowaka, bagna, które ją wciągało głębiej i głębiej.

Przeszedł ją kolejny dreszcz. Narzuciła na ramiona sweter, po czym poszła do łazienki i odkręciła wodę w kranie przy wannie. Solidna, gorąca kąpiel powinna poprawić jej nastrój. Wygrzeje się i zapomni chociaż na moment, co się wokół niej dzieje. Zaczęła myśleć o Piotrze. Minęło już tyle lat, odkąd rozstali się i każde z nich robiło karierę w obranych przez siebie dziedzinach. Szkoda, że nie umieli dążyć do sukcesu razem. Zbyt wiele było w ich związku rywalizacji. Piotr był teraz znanym naukowcem, badaczem wymarłych języków. Nadal jednak potrafił przejrzeć ją na wylot i rozgryźć jak nikt inny. Chyba dlatego postanowiła trzymać się od niego z daleka.

Weszła do parującej wody i wyciągnęła się wygodnie na całą długość wanny. Zamknęła oczy i starała sobie wyobrazić, że jest daleko stąd, daleko od zimnego, deszczowego Krakowa.

Za oknem ciepłego, przytulnego mieszkania padał rześisty deszcz ze śniegiem. Co jakiś czas mocne podmychy wiatru uderzały o szyby i Sławkowi zdawało się, że szkło nie wytrzyma tego naporu i z brzękiem wpadnie do środka. Łóżko stawało się coraz bardziej niewygodne, choć obracał się

na nim co kilka chwil. Zdecydował się wstać, zanim skończy się dzień i nie będzie sensu wychodzić spod pierzyny. Kiedy podniósł się na nogi, od razu zakręciło mu się w głowie i omal nie przewrócił się z powrotem na pierzynę. Chwiejnym krokiem przeszedł niecałe dwa metry, odsunął krzesło przy biurku i opadł na nie. Czuł, że na czoło i kark występuje mu zimny pot. Odetchnął kilka razy głęboko i włączył komputer. Odczekał kilka minut, aż system zaskłada, i połączył się z Internetem. Na stronie z lokalnymi wiadomościami starał się znaleźć jakiegokolwiek informacje na temat zabójstwa Jastrzębskich, ale nie znalazł kompletnie nic. Zaskoczyło go to, bo znał miejscowych dziennikarzy i wiedział, że za nic nie przepuściliby okazji do zajęcia się sensacyjną wiadomością. Wszedł na popularne portale społecznościowe i poszukał profili Jastrzębskiego, ale nic nie znalazł. To też wydało mu się dziwne, bo staruszek jednoznacznie określił się jako fascynat Internetu i Sławek spodziewał się, że udziela się na Facebooku czy Naszej Klasie. Przypomniał sobie, że emeryt z całą pewnością ma swoje konto na YouTube, nie pamiętał jednak jego nicka. Ogarnęła go wściekłość na samego siebie, że po raz kolejny okazuje się do niczego. Pomyślał, że właściwie zasadne byłoby, żeby to szef rzucił mu jego odznakę prosto w twarz. Był tak zdenerwowany, że niewiele brakowało, a wyrzuciłby komputer przez okno. Uruchomił jednak stronę YouTube i na chybił trafił starał się wpisywać kluczowe słowa, które pomogłyby mu zidentyfikować Floriana Jastrzębskiego. Nie dawało to jednak żadnych rezultatów, więc zrezygnowany wstał z krzesła i usiadł na brzegu łóżka, starając się ochłoniąć. Zastanowił się, kto może mu pomóc znaleźć youtubera.

– A po co ci to? – zapytał sam siebie.

Nie wiedział dlaczego, ale czuł, że musi. Zanim tak naprawdę postanowi, co dalej zrobić ze swoim życiem, musi otrzymać odpowiedzi na kilka pytań: dlaczego i kto? Po pierwsze

dłaczego znalazł się nagle w punkcie zwrotnym? Po drugie dlaczego zginęli Jastrzębscy i kto to zrobił? A po trzecie kto to jest Nowak i dlaczego skomplikował mu życie?

Nagle przyszło mu do głowy, że zna kogoś, kto może pomóc. Rafał Gładysz nie znał na pewno odpowiedzi na nurtujące go pytania, ale z pewnością wiedział, jak uchwycić trop. Był to nieudolny plantator marihuany, który wpadł już przy pierwszej próbie sprzedaży swojego trefnego towaru. Nie o narkotyki jednak chodziło Sławkowi. Rafał od co najmniej kilku lat pracował jako monter telewizji kablowej i Internetu. Z tego, co Sławek sobie przypominał, złapany na handlu zielskiem tłumaczył, że jest dobrym informatykiem, a firma zatrudnia go do pracy poniżej jego kwalifikacji i płaci mu grosze. Sprawa z zielskiem wypłynęła jakieś pół roku temu i Sławek nie wiedział, czy Rafał pracuje nadal w tym samym miejscu. Wiedział jednak, że chłopak dużo mu zawdzięcza. Wrócił więc do biurka i odszukał w szufladzie swój stary notes. Przekartkował zawartość i po chwili znalazł dane kontaktowe Rafała. Wybrał jego numer telefonu ale głos z automatycznej sekretarki poinformował go, że numer jest poza zasięgiem. Spróbował kilka razy z tym samym skutkiem. W notesie miał zapisany adres Rafała. Spojrzał na wiszący na ścianie zegar – dochodziła dwudziesta. Z pokoju rodziców dobiegały odgłosy nadawanego w telewizji show. Wstał z krzesła i ubrał się powoli. Nadal był bardzo osłabiony, niemniej czuł, że poziom adrenaliny w jego żyłach podniósł się mocno, a wola działania sprawiała, że potrafił przemóc swoją słabość. Założył spodnie, ciepłe skarpety i dwa grube swetry, po czym ruszył do pokoju rodziców.

– Tato, pożycz mi samochód – niemal wrzasnął w progu, starając się przekrzyczeć telewizor.

– Weź, ale jutro rano muszę go mieć z powrotem – odparł ojciec, nie odwracając wzroku od ekranu.

– A gdzie się wybierasz? – zapytała matka, choć w pierwszej chwili nie wiadomo było kogo.

– Kto, ja? – Ojciec odezwał się pierwszy.

– Obaj! Jutro sobota, nie idziesz do roboty, więc gdzie się wybierasz? – Po czym z tym samym niemalże pytaniem zwróciła się do Sławka: – A ty gdzie wychodzisz taki przeziębiony?!

Ojciec odwrócił wzrok od ekranu i przyjrzał się synowi uważnie, ale nic nie powiedział. Zwrócił się natomiast do matki:

– Jadę jutro na giełdę. Mówiłem ci to już kilka razy.

– A rzeczywiście! – Matka machnęła ręką i ponownie zapytała Sławka: – A ty gdzie? Ledwo na nogach stoisz!

– Dlatego potrzebuję samochodu, mam – odparł z rozbajającym uśmiechem.

– Może do dziewczyny jedzie, zostaw go w spokoju – rozeźmiał się ojciec, biorąc ukradkiem pilota. Zaczął zmieniać kanały zadowolony, że uwaga matki została odwrócona od telewizora.

– Jakiej dziewczyny? – Matka zmarszczyła się groźnie. – Wy mnie tu, starą niedźwiedzicę, na sztuczny miód nie nabierajcie! Jaka dziewczyna by go chciała w takim stanie widzieć.

Sławek pośpiesznie wycofał się do przedpokoju. Stamtąd słyszał jeszcze uporczywe przekomarzenie się rodziców na jego temat i zaczynającą się sprzeczkę na temat zmiany kanału telewizyjnego. Jego myśli jednak szybko wróciły na poprzednie tory: jak zaplanować swoje prywatne śledztwo?

Z metalowego haczyka przy olbrzymim lustrze zdjął kluczyki do samochodu. Założył kurtkę i buty, po czym prędko wyszedł z domu.

Na zewnątrz powitała go mocno niesprzyjająca aura. Wiatr dał jak oszalały, niosąc ze sobą nieprzyjemnie walące po głowie krople marznącego deszczu. Zimne powietrze spowodowało,

że natychmiast zaczął kaszleć i znowu niebezpiecznie zakręciło mu się w głowie. Pokonał jednak tę chwilę słabości i odszukał na parkingu nowiutkiego niebieskiego opla.

– Pan zwariował – powiedział cicho Rafał, ton jego głosu był jednak daleki od spokoju.

Sławek siedział naprzeciw niego i nerwowo smarkał w chusteczkę, choć z nosa nie dawało się już nic wycisnąć.

– Pan zwariował! – powtórzył Rafał dobitniej i znacznie już głośniej.

– O co ci chodzi? – Były policjant rozłożył bezradnie ręce. – Tylko ty możesz mi pomóc, mówisz, że jesteś hakerem.

– Gdybym panu powiedział, że jestem hakerem, zamknąłby mnie pan! – powiedział chłopak z wyrzutem.

– Słuchaj! – Sławek przeszedł do ataku. – Gdybym chciał cię zamknąć, to bym cię zamknął i byłoby mi obojętne za co. Za trawkę czy hakerkę, co za różnica? Ale cię nie zamknąłem i wisisz mi za to przysługę.

– Nie zamknął mnie pan, bo wcześniej pomogłem panu oczyścić brata z zarzutów o pedofilię! Rachunki wyrównane! – Rafał ściszył głos, bo w przedpokoju rozległy się ostrożne, ciche kroki jego babci.

– Ale może znowu na coś się przejedziesz i potrzebna ci będzie kolejna przysługa? – Sławek uniósł brwi, udając, że mocno się nad tym zastanawia.

Chłopak prychnął gniewnie i odwrócił twarz do ściany.

– Słuchaj – rzekł do niego Sławek pojednawczym tonem. – Nie będziemy się tutaj straszyć ani przekupywać. Będę brutalnie szczerzy. Nie pracuję już w policji i w przyszłości prawdopodobnie nie będę mógł ci w niczym pomóc. Chodzi jednak o coś innego niż formalne, proceduralne śledztwo. Zginęli ludzie, a ja nie wiem dlaczego i co się u licha dzieje,

bo policja robi wszystko, byleby tylko nie znaleźć winnych. Po prostu pomóż mi jak człowiek człowiekowi.

Rafał popatrzył na niego zupełnie innym wzrokiem i Sławek wiedział już, że trafił w sedno. Haker był typowym idealistą, który najbardziej nienawidził obłudy i owijania w bawełnę.

Chłopak bez słowa zajął miejsce przy swoim komputerze, wyłączył grę i wskazał na stojące nieco z boku krzesło.

– Pan pyta, ale nie patrzy, co tutaj robię – zastrzegł.

– Okej – ucieszył się Sławek i posłusznie zajął wskazane miejsce.

Chłopak zaczął intensywnie walić w klawiaturę swoimi krótkimi palcami. Przerwał jednak szybko, odwrócił do Sławka skupioną twarz i wyznał:

– Przede wszystkim: nie, nie awansowałem w firmie. Nadal ganiam po domach i restartuję ludziom modemy. Ale jak się coś wali w systemie, to dzwonią po mnie, bo ta banda nieuków nic nie potrafi. Dlatego znam wszystkie kody. A jakbym ich nie znał, to i tak niewielki problem, bo ten system da się prosto obejść. Ale ma pan szczęście, że tam pracują nieuki, bo nikt się nie połapie, że myszkowałem.

– Aha, okej – przytaknął Sławek. – Ale nie mów mi „pan”, bo ja już żaden pan nie jestem.

– Jak chcesz. – Rafał uśmiechnął się, odsłaniając poząłkłe zęby. – To co ma być?

– Więc najpierw... – Sławek poprawił się na krześle i położył na kolanach swój notes. – Najpierw chciałbym ustalić, jak się nazywa kanał na YouTube, prowadzony przez Floriana Jastrzębskiego.

– Adres? – rzucił krótko haker i wrócił do klepania w klawiaturę.

– Mieszkał w Cygańskim Lesie, na Malinowej osiemnaście.

Chwilę trwało, zanim Rafał zdołał odnaleźć szukane informacje.

– Często się logował na kanał Massive21 – powiedział nie-spodziewanie i jakby od niechcienia.

– Tak! To ten kanał! – Sławek aż podskoczył na krześle i szybko zapisał informację w notesie.

– Massive przez dwa „s” – uściślił haker i dalej uparcie czegoś szukał. – Mówisz, że kiedy zginął? Dzisiaj? – zapytał po chwili.

– W nocy – Sławek musiał się chwilę zastanowić – ale, tak, dzisiaj, bo po północy do mnie dzwonił, ale nie odebrałem.

– To skąd wiesz, że on dzwonił? – zapytał retorycznie Rafał.

– No nie wiem – mruknął cicho Sławek.

– Możliwe, że on, bo krótko po północy wrzucił film na swój kanał – stwierdził Rafał, przyglądając się uważnie czemuś na monitorze.

Sławek ponownie się ożywił.

– To dlaczego nic nie mówisz, pokaż! – Zerwał się z krzesła i momentalnie znalazł się za plecami chłopaka.

– No patrz, choć sądząc po ilości negatywnych ocen, nie ma na co. Ale tytuł daje czadu: *Zanim sforsują drzwi*. Brzmi jak topowe nagranie punkowej kapeli.

To mówiąc, Rafał uruchomił wyświetlanie na pełny ekran. Film był zmontowany z kilku ujęć, ukazujących nagrania z kamery zawieszanej na elewacji domu Jastrzębskich. Na pierwszym widać było jadącą w kierunku domu Nowaka terenową hondę. Jeden rzut oka na numery rejestracyjne wystarczył, żeby Sławek zorientował się, że był to ten sam samochód, który przejeżdżał tamtędy w noc napadu. Teraz nagrany został w świetle dnia i można było zobaczyć, że jest koloru ciemnozielonego. Przez ułamek sekundy mignęła mu także postać kierowcy.

– Jakiś blondyn – stwierdził Rafał.

– Uhm – przytaknął Sławek. – Sądzę nawet, że blondynka. Krótkowłosa.

Nagranie zostało zarejestrowane następnego dnia po napadzie. Sławek zapisał godzinę i zapytał chłopaka:

– Czy mógłbyś zatrzymać nagranie, kiedy ci będę mówił, i drukować mi wskazane kadry?

– Mógłbym, gdybym miał tusz w drukarce – zaśmiał się Rafał. Widać było, że sprawa powoli ale systematycznie go wciąga.

Tymczasem na ekranie ukazało się drugie ujęcie. Było z czwartku, z tego samego dnia, kiedy w domu staruszka zjawił się Sławek. Nagranie zaczynało się o godzinie dziewiętej rano. Znowu na drodze ukazała się znajoma honda. Tym razem przejechała koło domu Jastrzębskich, zniknęła poza kadrem, po czym samochód ponownie zjawił się w polu widzenia kamery, cofając na wstecznym biegu. Auto minęło bramę i zatrzymało się. W tym momencie widać było wyraźnie, że za kierownicą siedzi tęgi funkcjonariusz CBS, którego Sławek miał wątpliwą przyjemność poznać w swoim biurze. Osilek patrzył wprost w kamerę, gestykulując i mówiąc coś do pasażera. Pasażer pochylił się na moment, by spojrzeć na wskazywaną kamerę, i wtedy znowu zobaczyli krótkowłosą blondynkę. Po chwili samochód zawrócił i odjechał w stronę miasta. Trzecie ujęcie zostało zapisane w trybie nocnym. Spojrzeli na wyświetlany u dołu nagrania zegar. Była dwudziesta trzecia pięćdziesiąt. Na drodze od strony miasta pojawił się samochód. Było to białe audi bez tablic rejestracyjnych. Samochód zatrzymał się przy bramie domu. Film przeskoczył nagle kilka minut do przodu i oglądający zobaczyli parę ludzi, kobietę i mężczyznę, stojących przy furtce i naciskających przycisk dzwonka. Sławek wyzbył się wszelkich wątpliwości – była to ta sama para funkcjonariuszy CBS, którzy naszli jego biuro tego ranka. Po ponad minucie na filmie dało się zaobserwować zniecierpliwienie i irytację czekających przy bramie. Po kolejnej chwili mężczyzna zniknął poza zasięgiem kamery, kobieta mówiła jednak ciągle coś do niego i sądząc po tym, w którą stronę obracała twarz, można było wydedukować, że funkcjonariusz znalazł się



wewnątrz ogrodzenia. Po chwili śladem mężczyzny z kadru zniknęła kobieta. Film kończył się czarną planszą, na której znalazło się kilka zdań: „I nikt bez zmayı. Czarne czasu koła jedne w drugie wplecione, czyn pociąga czyn. I noc. A z nocy tej jak gdyby nikt nie wołał, nawet o łaskę, o odpuszczenie win. KKB. Powodzenia”<sup>2</sup>. To było wszystko.

– A co to za skrót „KKB”? – zapytał Sławek, zapisując słowa z planszy w notesie.

– Nie wiem. Pewnie inicjały autora tekstu. – Rafał wzruszył ramionami i wpisał początek cytatu w wyszukiwarkę.

– Jest! – Zatarł z podnieceniem ręce. – To wiersz Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

– Nie ciesz się tak – roześmiał się Sławek. – Ten wiersz w niczym tu nie pomaga, to tylko – spoważniał nagle – to tylko... tylko pożegnanie biednego staruszka.

W pokoju nastała długa chwila smutnej, krępującej ciszy.

– Zgraj mi ten filmik na coś – poprosił po chwili Sławek.

Chłopak bez słowa ściągnął film na swój komputer i rozejrzał się po zaśmieconym biurku. Spośród walających się na nim pustych paczek po chipsach i batonikach, puszek po napojach i wypisanych dawno długopisów wygrzebał sfatygowany pendrive w kształcie świętego mikołaja z odłamanymi nogami.

– Mam nadzieję, że działa lepiej, niż wygląda. – Sławek popatrzył na Mikołaja z dezaprobatą.

– Bez obaw, daję co mam najlepszego – powiedział Rafał i podłączył urządzenie do wtyczki.

Sławek podszedł z powrotem do krzesła i zdjął z oparcia kurtkę. Zanim zdążył ją założyć, Rafał podał mu pendrive. Sławek wyciągnął dłoń, ale chłopak nagle cofnął swoją.

– O co chodzi – zapytał go podejrzliwie mężczyzna.

---

2 Krzysztof Kamil Baczyński, *Modlitwa II*, [cyt. za:] <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/baczynski-modlitwa-ii.html>.

Haker dłuższą chwilę wpatrywał mu się głęboko w oczy, po czym zapytał:

– Możemy sobie ufać?

– Pewnie, że możemy – potwierdził stanowczo Sławek, cały czas trzymając wyciągniętą przed siebie dłoń.

– No to siadaj jeszcze na chwilę i słuchaj – polecił mu chłopak i odkładając mikołaja na biurko, sięgnął do szuflady. Nic nie mówiąc, wyciągnął solidnego skręta i zapalki.

– No wiesz! – zdenerwował się Sławek. – Ufać sobie możemy, ale wspólne ćpanie odpada!

Haker włożył skręta do ust i nie zważając na protesty ekspolicjanta, zapalił. Gęsta chmura dymu niemal natychmiast otoczyła jego głowę, a po pomieszczeniu rozszedł się charakterystyczny zapach palonych konopi.

– Nie proponuję ci bucha – odezwał się chłopak, odganiając dłonią dym wciskający mu się do oczu. – Mam tylko dla siebie i nie będę się dzielił z glinami. Siadaj, proszę.

Sławek ponownie usiadł, przyglądając się z zaciekawieniem chłopakowi. Ten pociągnął solidnie raz jeszcze i zaczął od pytania:

– Czy słyszałeś o programie Buster?

– Nie – odparł szybko Sławek.

– Nic dziwnego. – Rafał wyduł wargi w geście udawanej wyższości. – To nowy system, jeszcze w fazie testów. Na prowincję dotrze nie wcześniej niż za dziesięć lat.

– Ale co to za program?

– Policyjny. Wyszukuje i kojarzy fakty. Opiera się na bardzo rozbudowanej bazie danych. Wystarczy wklepać wszystkie dotyczące śledztwa informacje, jakie posiadasz, i program skojarzy podobieństwa.

– Bez sensu – Sławek zarechotał. – Przecież tak można tylko mnożyć sobie tropy bez końca. A z ilu lat jest niby ta baza danych?

– Ponoć docelowo ma być od wojny, ale nie wiem, na ile już zrobili update.

– Dobra, a skąd ty wiesz o tym programie, skoro ja, policjant, o tym nie wiedziałem?

Rafał popatrzył na niego jak na idiotę.

– Przecież to Internet! – niemal krzyknął. – W Internecie zawsze ćwierkają ptaszki, trzeba tylko należeć do kółka ornitologicznego.

Sławek nie odzywał się dłuższy czas. Patrzył tylko, jak Rafał napawa się swoją przewagą, powoli wypalając skręta.

– Więc może powiesz mi – zaczął Sławek ostrożnie – że ten program już działa i masz do niego dostęp?

– Mogę mieć – stwierdził obojętnie chłopak.

– No to miej. – Sławek uznał, że warto zaryzykować.

Rafał położył palące się skręta na pustej puszcze po coca-coli i zabrał się do pracy. Tym razem chyba ufał już Sławkowi na tyle, że nie kazał mu siadać daleko od monitora. Mężczyzna przysunął swoje krzesło do biurka i usiadł. Po kilku błyskawicznie wystukanych na klawiaturze komendach hakerowi udało się uruchomić stronę z widocznym u góry logo Komendy Głównej Policji. Strona ostrzegała o zastrzeżonym dla nielicznych prawie do dostępu, ale Rafał zignorował te informacje. Po krótkiej chwili miał już nieograniczony dostęp do bazy danych.

– Mów teraz, co wiesz – powiedział nagle do Sławka.

– To znaczy?

– Rodzaj przestępstwa?

– Zabójstwo.

– Imię i nazwisko ofiary?

– Julian Nowak.

– Płeć?

– No mężczyzna.

– Data urodzenia?

– Poczekaj... poczekaj. Już wiem: dwudziesty piąty grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku.

– Data przestępstwa?

– Piąty listopada tego roku.

– Zabójcy?

– Nieznani.

– Okej. To teraz podawaj mi słowa kluczowe dla sprawy.

– Jakie słowa kluczowe? – Sławek nie rozumiał.

– Chodzi o słowa kluczowe dla sprawy. – Rafał sięgnął po skręta, ale ten zgasł. Strzepnął z niego popiół, ostrożnie odłożył do szuflady w biurku i wyjaśnił: – Jakikolwiek osoby albo rzeczy przychodzi ci na myśl w związku ze sprawą, niekiedy może nawet absurdalne. Wszystkie mi je podyktuj.

Sławek zmarszczył brwi i długo się zastanawiał, po czym ostrożnie i bez przekonania zaczął wymieniać:

– Pistolet, honda, Florian Jastrzębski, Krystyna Grzegorzewska, Sławomir Zapalski, Centralne Biuro Śledcze, samotny dom, las, góry...

– Okej – przerwał mu Rafał. – Zobaczymy, czy program coś zwęszy.

Czekali nie dłużej niż kilka sekund. Wyświetlana strona zamrugała i pojawiała się nowa karta. Przy wpisanej dacie urodzenia Nowaka błyszczał duży czerwony wykrzyknik.

– Co jest? Błędna data? – zdziwił się Sławek.

– To nie ankieta z ofertami ubezpieczenia – zachnął się chłopak. – System coś znalazł.

– Co? Datę? – niemal krzyknął Sławek, coraz mniej rozumiejąc.

– Zobaczymy – uciął krótko Rafał i odczekał, aż wszystkie dane się załadują.

Obaj niemal równocześnie zbliżyli twarze do monitora. Na stronie wyświetlił się długi komunikat. Sławek przeczytał go kilkakrotnie, ale dalej w głowie miał mętlik.

– O co chodzi? – zapytał ze wstydem chłopaka.

– Czemu to nie ja byłem glina? – Haker przewrócił oczami, ale wyjaśnił mu: – Chodzi o to, że system wyszukał dziwną prawidłowość. Od pięćdziesięciu lat, bo prawdopodobnie tak daleko sięga ich baza danych, ginie w zabójstwach, samobójstwach i wypadkach statystycznie zbyt duża ilość ludzi urodzonych dwudziestego piątego grudnia. Wynika to z prostego rachunku prawdopodobieństwa. Jeśli, statystycznie rzecz biorąc, szansa, że urodzisz się dwudziestego piątego grudnia jest jak jeden do trzystu sześćdziesięciu pięciu, to taki mniej więcej powinien być wskaźnik urodzin.

Rafał chciał kontynuować, ale widząc zafrasowaną twarz Sławka, opuścił ręce w geście zrezygnowania.

– Dobra, konkretnie i z przykładami – podjął po chwili. – Jeśli w roku kalendarzowym w Polsce rodzi się dajmy na to tysiąc dzieci, to statystycznie rzecz biorąc, ile urodzi się dwudziestego piątego grudnia?

Sławek wzruszył ramionami, obawiając się, że Rafał się mocno zirytuje. Wypalony skręt robił jednak swoje i chłopak miał dobry humor. Zaśmiał się tylko i cierpliwie objaśniał:

– Według rachunku prawdopodobieństwa około trojga dzieci. A dokładniej dwa koma siedem bodajże. Tyle że rachunek prawdopodobieństwa ma pewne „ale”. Załóżmy, że ciężarne panie obżerają się w wigilię i nagle odchodzą im wody. Wtedy przez wzgląd na specjalne okoliczności będziemy mieć ciut więcej narodzin. I taka prawidłowość występuje: proszę, cztery przecinek dwie dziesiąte procenta. – To mówiąc puknął palcem w jakieś miejsce na ekranie.

– No i... – Sławek zaczynał rozumieć.

– Więc jak myślisz? Jaki procent ludzi urodzonych dwudziestego piątego grudnia powinien stanowić ogólną liczbę ofiar zabójstw, wypadków i samobójstw?

– Taki sam jak urodzeń? – zapytał nieśmiało Sławek.

– Brawo! – Rafał klasnął w dłonie. – A system mówi, że nie jest!

Sławek zastanawiał się chwilę, po czym zauważył rzeczowo:

– Ale może i w tej rachubie są jakieś „ale”? Może, dajmy na to, wskaźnik samobójstw jest większy, bo nie przychodzą do nich goście na urodziny?

– Czemu? – tym razem Rafał był zbity z tropu.

– Bo są święta Bożego Narodzenia. – To mówiąc, Rafał popukał się w czoło, szczęśliwy, że udało mu się odpłacić młodemu, domorosłemu detektywowi.

– Aha – Rafał podrapał się po karku. – Fakt. Może istnieć jakaś specjalna przyczyna, ale system wziął już ją pod uwagę jako margines błędu i mimo to nadal twierdzi, że jest to statystycznie niemożliwe. Bardzo statystycznie niemożliwe! Hej, to prawie dziesięć procent!

Sławek pokiwał głową.

– Trudno mi przyjąć, że ktoś zabija kogoś ze względu na datę urodzenia. Niby czemu?

– A ja wiem? Mało teraz zrytych beretów chodzi po ulicach? – To mówiąc, haker jeszcze raz zagłębił się w lekturze informacji i po chwili dodał: – Właściwie nie chodzi o teraz. Ta tendencja jest stała dla całej bazy danych. Pięćdziesiąt lat rzezi tych, którzy urodzili się tego samego dnia co Jezus Chrystus. Nie wiem, czy ten Nowak to nie był ostatni Mohikanin.

– Może właśnie Jezus Chrystus ma z tym coś wspólnego? – zakpił rozeźlony Sławek. – Tak jak mówiłem, ten cały system o dupę rozbić. Ze ślepych zaułków robi ważne ślady i marnuje ludziom czas!

Rafał zrobił obrażoną minę i zamknął policyjną bazę danych. Odwrócił się do Sławka i spojrzał mu poważnie w twarz.

– Może nie jestem gliną, ale umiem liczyć i ufam matematyce jak własnej babci, bo obie mnie wychowały.

– No dobra już, dobra, nie denerwuj się tak – odezwał się pojednawczo Sławek i poklepał go po ramieniu. – Naprawdę doceniam to, co zrobiłeś dla mnie – dodał po chwili i jeszcze raz otworzył swój notes. Zapisał w nim wszystkie informacje dotyczące daty dwudziestego piątego grudnia i statystyk, ale wiedział, że robi to tylko dlatego, że nie chce urazić Rafała. Od samego początku pomysł, że ktoś upatrzył sobie urodzonych w święta na ofiary, wydał mu się niepoważny.

Eleonorze wydawało się, że leży zamknięta w ciemnej trumnie. Było jej przeraźliwie zimno, a dookoła otaczał ją wilgotny mrok. Chciała krzyknąć, ale do jej ust natychmiast dostała się woda i zakrztusiła się. Wtedy zdała sobie sprawę z tego, że ciągle leży w wannie. Musiała zasnąć dłuższy czas temu, bo woda była lodowato zimna. Dygocząc i kaszląc, wypęzła z wanny i po omacku znalazła ręcznik. Owinęła się nim nieporadnie i jak najszybciej wyszła z łazienki. Na zewnątrz kilkakrotnie nacisnęła włącznik światła, ale całe mieszkanie tonęło w ciemności. W myślach przeklinała stare budownictwo, które choć stylowe i modne, ciągle powodowało nieprzewidywalne problemy. Przy drzwiach łazienki odszukała po omacku małe drzwiczki, otworzyła je i zbadała opuszkami palców położenie bezpieczników. Były we właściwej pozycji i chcąc nie chcąc, musiała sobie poradzić inaczej. Znalazła drogę do salonu i tam też próbowała włączyć światło, niestety również bez skutku. Odruchowo spojrzała w stronę stolika, gdzie, jak pamiętała, zostawiła laptop. Wystraszyła się, że również i tym razem ktoś włamał się do jej domu i zostawił okrutną groźbę zapisaną w widocznym miejscu na pulpicie. W ciemności dostrzegła z ulgą, że komputer jest wyłączony i spoczywa dokładnie tam, gdzie go zostawiła. Ostrożnie stawiając kroki, przeszła do kuchni i w jednej z szafek znalazła

świeczkę i zapalki. Zapaliła miękki, biały knot i odczekała, aż płomień dotknie szpiczasto uformowanego wosku. Aureola światła rozproszyła lekko ciemności w pokoju i Eleonorze łatwiej było się poruszać. Przeszła na środek salonu i postawiła świeczkę na stole. Wtedy dopiero mogła się dokładnie wytrzeć i ubrać w ciepłą, frotową piżamę. Poczwała się lepiej, kiedy jej ciało nieco się ogrzało. Marzyła o gorącej herbacie, ale kuchenka i czajnik działały na prąd i musiała obejść się smakiem. W słabym blasku płomienia z trudem odczytała godzinę na wiszącym na ścianie zegarze. Było dziesięć minut po czwartej i nie mogła uwierzyć, że przespała niemal całą noc w wannie. Nigdy nic takiego się jej nie przytrafiło. Zrzuciła to na karb zmęczenia i ponurej późnojesiennej aury. Zabrała świeczkę ze stołu i pomaszerowała do sypialni. Tam postawiła źródło światła na podłodze i z radością położyła się w łóżku. Wyprostowała nogi pod kołdrą i okryła się nią szczelnie aż po samą brodę. Przypomniała sobie o ciągle palącej się świeczce, ale było jej tak dobrze, że nie chciało jej się wysuwać nawet ręki spod kołdry. Dziwnym trafem płomień świecy zaczął gwałtownie łopotać po czym nagle zgasł. Eleonora zastanawiała się, jak to możliwe, ale wymyśliła tyle przekonujących wyjaśnień, że już chwilę potem przestała się nad tym zastanawiać. Zamknęła powieki i z ulgą pomyślała, że ma wolną sobotę i może spać, jak długo zechce. Wtedy usłyszała gdzieś obok łóżka cichy oddech. Otworzyła szeroko oczy i rozejrzała się ze strachem dokoła. W mroku pokoju nie dostrzegła nikogo. Ponownie zamknęła powieki i starała się myśleć o czymś przyjemnym. Przypominała sobie zeszłoroczne wakacje w Tajlandii, ciepły piasek na plaży... Czyjś wyraźny oddech rozbrzmiał tak blisko niej, jakby ktoś leżał obok w łóżku. Serce zaczęło jej szybko bić, ze strachu odwróciła się na bok, plecami do obcego dźwięku. Tymczasem równomierny oddech dawał się słyszeć mimo wszystko i Eleonora



zaczęła przypuszczać, że śni jakiś koszmar. Za chwilę znów się obudzi, być może ciągle w wannie – ale obca, niewytłumaczalna obecność zniknie. Trwała tak długo w napięciu i nawet nie wiedziała kiedy, a za oknem zaczęło robić się jasno. Wtedy zasnęła na dobre.